

Z uwagi na koronawirusa Wratislavia jest w tym roku okrojona z 10 – 14 dni do trzech dni. Można jednak o tym kompletnie zapomnieć i nie ronić łez, gdy jest się słuchaczem takich koncertów, jak te, które rozbrzmiały w sobotę (12.09.2020). Nie dość, że 55 Wratislavia Cantans jest mimo zarazy coraz mocniej zbierającej żniwa, to jeszcze jej poziom zdaje się sugerować, że w skazanych na częściowe odizolowanie muzykach wprost wzbierała twórcza energia i tylko czekała na swoją erupcję przed równie wygłodniałą publicznością.

Gdy szedłem do Narodowego Forum Muzyki zauważyłem, że wygłodniali i pełni artystycznej energii są nie tylko muzycy i słuchacze, ale również dziennikarze. Polskie Radio zajęło po NFM całą swoją sprzętową flotą, do tego pojazdy z elektroniką lśniły wręcz od czystości, jakby ich opiekunowie przez ostatnie miesiące oddawali się przy nich marzeniom o dobrym koncercie i aby dać ujście niecierpliwości pucowali je do stanu vanów i busików lustrzanych.

Drugi dzień Wratislavi w czasach zarazy rozpoczął się od muzyki XX wieku. Większość koncertu zajęły dwa wspaniałe cykle Benjamin Brittena – Les illuminations op. 18 zaśpiewany przez Agatę Zubel i Serenada na tenor, róg i smyczki op. 31 wykonana przez Martina Mitterrutznera. Oczywiście wykonanie serenady nie byłoby możliwe bez waltornisty – wirtuoza, którym był, z wielkim powodzeniem, Radek Baborák.

Serenada i Objawienia to Britten za którym zawsze tęsknię słuchając wielu innych jego dzieł. W tych utworach nie ma

prawie wcale koturnowego neoklasycyzmu czy kwaśnych, cytrynowych współbrzmień, nieco pisanych na siłę, moim zdaniem. Zawsze byłem zły, że sława Brittena przyćmiewa wielu innych brytyjskich kompozytorów jego czasów, których cenię bardziej. Lecz są wyjątki i do nich z pewnością należą Objawienia (Iluminacje, Wizje), gdzie język kompozytora jest śmiały, zmysłowy, pewny siebie, całkowicie zainspirowany tajemniczym symbolizmem Arthura Rimbeaud, z którego wyłaniają się rozliczne demony – okrutne, surrealistyczne, neoklasycystycznie estetyczne, subiektywne do przesady i pozbawione rzeczywistego podmiotu, też do przesady.

Agata Zubeł wykonała ten cykl z ogromną wrażliwością i bardzo mądrze. Słysząc było jej refleksję nad tą piękną strukturą muzyczną, jak i nad jej zupełnie nietuzinkową treścią literacką. NFM Orkiestra Leopoldinum współtworzyła atmosferę Wizji, Objawień i Przeczuć w sposób godny poetyckiego Parnasu, co nie dziwi, gdyż zyskała sojusznika w postaci zżytego z nią na wielu doskonałym nagraniach modernistycznych dyrygenta – Ernsta Kovacica.

Równie pięknie zabrzmiała Serenada, jeden z najbardziej znanych utworów Brittena. Poetyckie obrazy nocy, ilustrowane tenorem i rogiem, całkowita przenikalność świata poezji i muzyki pozwoliły zapomnieć, że poeci tym razem nie są tak mocni i niezwykli jak Rimbaud, choć też ciekawi.

Koncert otwierał krótki i przedśmiertny utwór Panufnika zatytułowany „Love Song na sopran, harfę i orkiestrę”, a oparty na wyzywająco prostym przy Rimbaud miłosnym wyznaniu renesansowego poety angielskiego sir Philipa Sidney’ a. Od jakiegoś czasu staram się odkrywać Panufnika, co wcale nie jest takie proste zważywszy na mniejszą ilość jego nagrań na naszym rynku, tak jakby był wciąż karany za zdradę przez

komunistyczne władze. Prawda jest oczywiście bardziej prozaiczna – odcięcie go od polskich słuchaczy przez dekady zrobiło swoje. Ten przyjaciel Lutosławskiego został skazany na niepamięć i katom w dużej mierze się udało i nadal udaje, choć oni sami w większości odeszli, przytłoczeni własnym wiekiem, bo chyba nikt nie odpowiedział przed sądem za blokowanie dostępu Polaków do dzieł Panufnika. A przynajmniej jakiś symboliczny wyrok by się przydał, gdyż Love Song to, moim zdaniem, porywające arcydzieło. Niezwykła partia orkiestry, zapowiadająca nowy romantyzm, Glassa, nową złożoność i wiele innych tendencji, które zaczynały się dopiero rozwijać. Partia solistki wyzywająco politonalna, walcząca niemal z orkiestrą, ale w jakiś niezwykły sposób na tym tle ożywająca bardziej, niż to zwykle się dzieje, zadziwiająca i poruszająca. Love Song była dla mnie wielkim odkryciem, dzięki Agacie Zubel (która jednak w tym utworze śpiewała trochę za cicho, zawiniły może niskie rejestry głosu), dzięki Orkiestrze Leopoldinum i dzięki świetnej harfistce Malwinie Lipiec-Rozmysłowicz.

Pierwszy sobotni koncert był zatem odkrywczy, poruszający i bardzo, ale to bardzo poetycki. Takie koncerty wpisują się we wrażliwość i we wspomnienia na długie lata, stając się punktem odniesienia dla wszelakich prywatnych odkryć i innych „les illuminations”. A drugi koncert? Drugi koncert to był prawdziwy fajerwerk. Gdyby muzyka istniała jako Bogini, jak chcieli tego greccy, rzymscy i jak chcą tego indyjscy politeiści, to przywdziewałaby się w szaty takich właśnie koncertów, gdzie jest po prostu nieodparta i triumfuje.

Oto „dane” tego koncertu. Wklejam je szybko, bo gdy wspominam ten muzyczny żywioł, zamykam oczy, zaczynam marzyć i nie mogę pisać:

[Giovanni Antonini](#) – dyrygent

[Il Giardino Armonico](#)

[Julia Lezhneva](#) – sopran

Matthew Locke *Introduction, Canon 4 in 2, Lilk, Curtain Tune* –
muzyka do sztuki *The Tempest*

Antonio Vivaldi *Agitata da due venti* – aria z
opery *Griselda* RV 718

Geminiano Giacomelli / Antonio Vivaldi *Sposa son disprezzata* –
aria z pasticcio *Bajazet*

Carl Heinrich Graun *No, no di Libia fra le arene* z opery *Silla*

Georg Friedrich Händel *Concerto grosso g-moll* op. 6 nr 6, HWV
324

Antonio Vivaldi *Zeffiretti che sussurrate* z opery *Ercole su'l
Termodonte* RV 710

Georg Friedrich Händel *Un pensiero nemico di pace* – aria z
oratorium *Il trionfo del Tempo e del Disinganno*, HWV
46a, *Brilla nell'alma* z opery *Alessandro* HWV 21



Koncert miał trwać 55 minut, trwał 2 godziny, bowiem bisów było więcej niż samego koncertu. Publiczność nie mogła usiąść i przestać klaskać. Giovanni Antonini i jego muzycy spodziewali się tego, w wolnych od ukłonów chwilach tylko przeglądali nuty radząc, co by tu jeszcze zagrać. Też słyszeli JAK ONA ŚPIEWA. A Julia Lezhneva, zawsze świetna, była w iście królewskiej formie. W pięknej sukni, niestrudzona wokalnie (ani śladu zmęczenia, mogłaby tak śpiewać całą noc) stała się boginią muzyki. A my wszyscy nie mogliśmy stamtąd wyjść. Mimo Czasów Zarazy...

Jeśli chodzi o samą muzykę, to osoby powątpiewające w wielkość Vivaldiego, tak jak niegdyś czynił to Strawiński (przynajmniej też wielki kompozytor) muszą to usłyszeć. Radiowa Dwójka to

nagrała, zatem jeśli ktoś uważa, że „co tam Vivaldi, przecież Bach, przecież Haendel, przecież Telemann”, powinien posłuchać. A innych zachęcać nie trzeba.